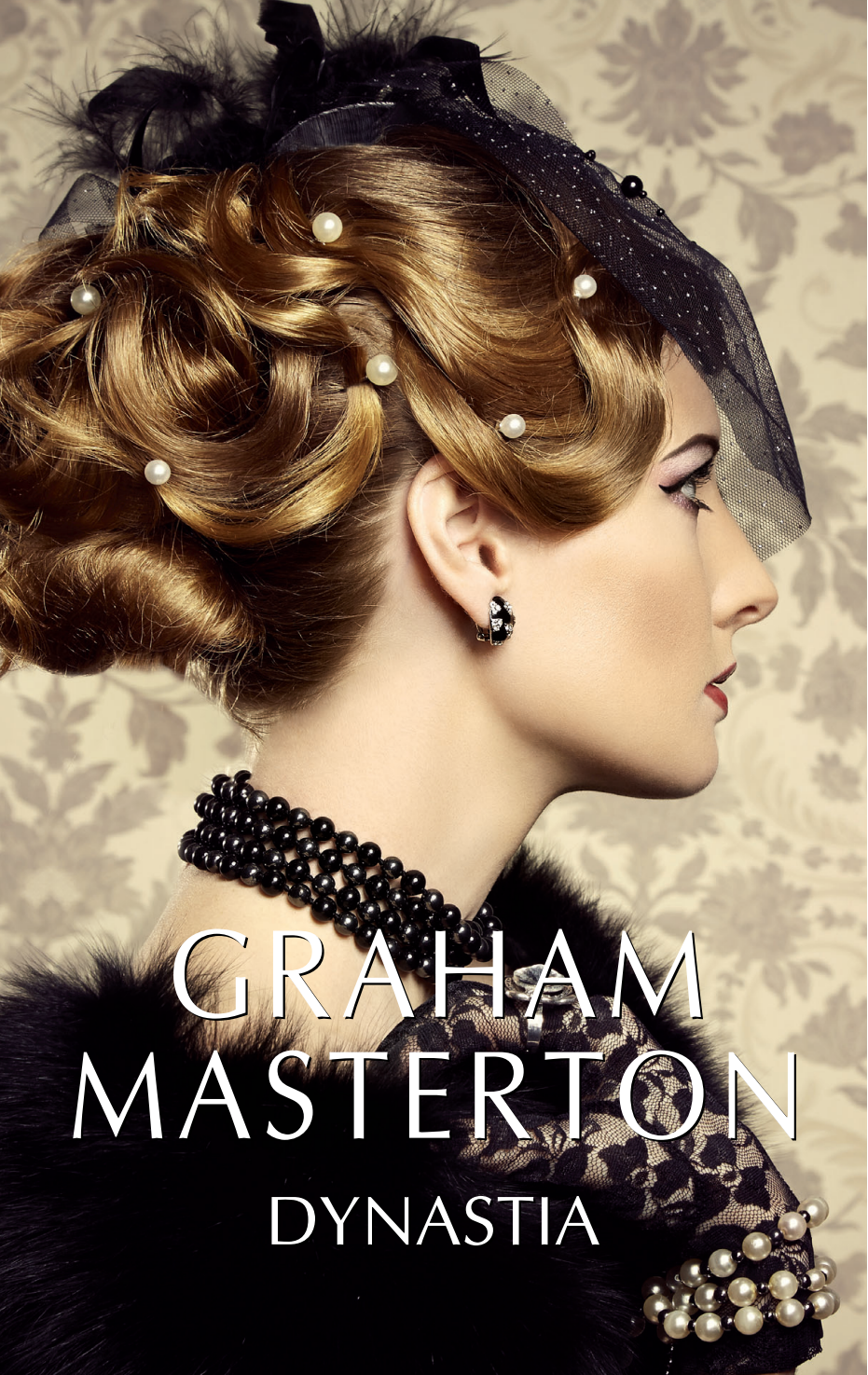




GRAHAM
MASTERTON
DYNASTIA

1900

KRONIKA WYDARZEŃ TOWARZYSKICH

HUCZNE GARDEN PARTY

ZEBRANO PONAD TRZYSTA DOLARÓW
DLA CHORYCH DZIECI

W ostatnią sobotę pan Frank Edmunds z Broughton wydał wspaniałe przyjęcie na świeżym powietrzu, na którym bawiło się dwustu pięćdziesięciu najwybitniejszych obywateli miasta i zaproszonych gości. Zebrano trzysta pięćdziesiąt dolarów i dwadzieścia trzy centy na potrzeby chorych dzieci z miasta i okolic.

Wśród obecnych zauważono pana J. Corneliusa, który niedawno przybył z Nowego Jorku i rozważa otwarcie w naszych stronach interesu.

„The Broughton Sentinel”

14 sierpnia 1900 r.

Był to jeden z tych dni, podczas których upał napływa duszącymi falami, i wystarczyło minąć próg domu, przejść kilka kroków Main Street, idąc po worek fasoli lub torebkę sody kuchennej do składu towarów mieszanych czy trochę dalej do kramu rybnego na rogu Galveston Street, a ubranie zaczynało parzyć, kleić się do ciała i uciskać, buty uwierać i w głowie pojawiała się wizja gazowanego napoju z gałkami lodów i syropem albo cytrynowego sorbetu, smakowanego łyżeczką po łyżeczce przy zacienionym stoliku w Raju Lodowym Howarda.

Nigdy jednak nie widziano tu lodziarza o tym nazwisku. Lokal prowadziła drobna i ruchliwa jak ptaszek wdowa Grey. Odziana w wykrochmalony biały fartuch, uwijała się za marmurowym blatem, serwując lodowe desery i mleczne koktajle w salaterkach i szklankach o grubych ściankach. Służyła też radami – bez względu na to, czy były komuś potrzebne, czy też nie. Wierzyła niezłomnie, że życiowe porady są nieodłącznym, wliczonym w cenę dodatkiem do lodowych deserów.

Kiedy tamtego sierpniowego popołudnia Janet weszła do środka, lokal był zatłoczony, a w chłodnym blasku przefiltrowanego przez szyby słońca krążył leniwie ciepły wir rozmów. Pani Grey kładła właśnie ostatnią, siódmą warstwę na lodowym torcie truskawkowym, rozmawiając z potężnie zbudowanym, spoconym mężczyzną w wytartej niebieskiej kurtce i połatanych spodniach.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, młody człowieku – perorowała, zwieńczając tort wisienką – powinieneś śmigać na północ i znaleźć

sobie zatrudnienie w fabryce. Słyszałam, że oferują tam stałe zajęcie, a zarobek jest wyższy niż gdzie indziej. Tu nic takiego nie znajdziesz, zawsze tak było i będzie.

Rozmówca pani Grey zdawał się jej nie słuchać. Grubymi, tępo zakończonymi palcami robotnika kreślił niewidzialne wzory na zimnym kontuarze.

– W dzisiejszych czasach musisz się znać na rzeczy, jak chcesz do czegoś dojść – mówiła wdowa. – Kiedyś wystarczyło mieć krzepę i umieć machać łopatą i kilofem. Ale w dzisiejszych czasach, jak się nie znasz na rzeczy, możesz skończyć żywot tak samo, jak przyszedłeś na świat, goły i wesoły.

Kartka kalendarza wiszącego na ścianie obitej sosnowymi deskami szeleściła w ciepłym powiewie wpływającym przez drzwi cukierni. Był trzynasty sierpnia 1900 roku.

– Janet, przecucie mi mówi, że znów przysłaś sobie pofolgować na koszt swojej pani – stwierdziła pani Grey.

To był ich stały żart, ale spocony olbrzym przy kontuarze najwyraźniej się na nim nie poznał, bo obejrzał się i posłał Janet karcące spojrzenie, jakby była niegrzecznym pudelkiem.

Pani Grey uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu.

– To przez ten upał. No i nasza lodziarnia wypada w połowie drogi do sklepu. Nie dziwota, że niejedną pannę służącą skusi, żeby do nas wstąpić – wyjaśniła.

Janet uśmiechnęła się do niej.

– I to jaki upał, pani Grey. Chyba uratowałyby mnie tylko lody z czarnej porzeczeki z wisienkami, polane syropem. Myślałam, że się rozpułnę, jak tu szłam. Przysięgam.

– Takie młódki jak ty w ogóle nie powinny czuć gorąca – powiedziała pani Grey, skrobiąc łopatką zlodowaciały sorbet. W lokalu rozeszła się smakowita ostra woń czarnej porzeczeki. – Zawsze powiadam: noście grubszą bieliznę.

Gdy tak mełła językiem, potężnie zbudowany nieznajomy nie spuszczał wzroku z Janet. Kiedy dziewczyna się zorientowała, że jest obiektem obserwacji, zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Był zwykłym pracownikiem fizycznym, a jej pani surowo przestrzegała ją przed „narzucaniem się chłopakom od rzeźnika i innym prostakom”. Słyszac te przestrogi, Janet zawsze zżymała się w duchu, że pani traktuje ją jak przymilną psinę, łaszczącą się do byle

przechodnia.

Miała osiemnaście lat i służyła u państwa Mullinerów, którzy mieszkali przy Beaumont Street. Domy stały tam w sporych odstępach od siebie, były pomalowane na biało, otoczone palmami i akacjami i spowite cienistymi pnączami. Z powodu białych płotków, starannie przystrzyżonych trawników i eleganckich panienek spacerujących po nich jak młode klaczki na wybiegu mieszkańcy dalej położonej dzielnicy dworcowej nadali temu kwartałowi nazwę „Wyścigi”. Choć pani Mulliner była mężatką, należała do klaczek cieszących się największym zainteresowaniem gapiów i plotkarzy. Kilka razy w roku jeździła do Houston, przywożąc modne łaszki, na które wydawała mnóstwo pieniędzy. Janet słyszała, że w ostatnim sezonie tylko za jedną sukienkę wybuliła dwadzieścia dolarów! Jednak wszystko wskazywało na to, że pan Mulliner nie przejmuje się ekstrawagancjami żony. Był od niej o dobre dziesięć lat starszy, miał siwawe bokobrody i pewnie uważał, że taka piękna towarzyszka życia zasługuje na dużą część jego zarobków. Prowadził wziętą kancelarię adwokacką przy Piątej Ulicy, w dzielnicy handlowej, i uchodził za bardzo zamożnego człowieka.

Praca u Mullinerów stanowiła dla Janet źródło satysfakcji i dumy. Była niską dziewczyną, miała zaledwie pięć stóp i cztery cale nawet w ciężkich, podbitych żabkami bucikach, a jej pulchne kształty prowokowały gości państwa do serdecznych uścisków, zwłaszcza po trzeciej kolejce brandy. Miała kasztanowe włosy, unoszące się niesfornymi chmurkami pod szerokim słomianym kapeluszem, pągawate policzki, uroczro rozchylone różowe wargi, a szeroko otwarte oczy o szarych cętkowanych źrenicach nadawały jej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia. Kremowa perkalowa spódniczka i szyta na niemiecką modłę lniana różowa bluzka podkreślały krągłość jej bioder i piersi, prowokując malarzy pokojowych do gwizdów, gdy mijała ich energicznym krokiem, a starsi panowie unosili binokle, odprowadzając ją długim, pełnym uznania spojrzeniem.

Jednak potężny typ siedzący w Raju Lodowym Howarda nie ograniczył się do jednego spojrzenia. Bezwstydnie wybałuszał na Janet blade ślepie, jakby nie dopięła bluzki albo miała płamkę sadzy na czubku nosa. Wyglądał jak Holender: miał czerwoną twarz i odstające uszy grubości sporych plastrów boczku oraz mięsiste

wargi. Jego rzędzące na ciemieniu włosy były koloru słomy. Ale mimo wyraźnego braku ogłady pociągał siłą i męskością. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który potrafi wybawić dziewczynę z kłopotów, unosząc jednym palcem jej ugrzęzły w błocie powozik.

Nie odezwał się ani słowem, gdy wdowa Grey połała syropem sorbet Janet, ozdobiła go wisienkami, po czym włożyła do salaterki łyżeczkę z długą rączką i przesunęła całość po ladzie. Janet otworzyła portmonetkę i położyła na ladzie pięć centów, a pani Grey wysunęła z brzękiem szufladę kasy, wrzuciła do niej zapłatę i wydała resztę.

– Nie grzeb się z tym, panno Janet, bo jeszcze spotka cię bura, kiedy wrócisz do swoich chlebowawców. Dziękuj Bogu, że nie pracujesz u mnie, bo już dawno pogoniłabym cię kijem od miotły.

Janet posłała jej spłoszony uśmiešek i udała się ze swoimi lodami do jedyne go wolnego stolika. Wolała oddalić się od barczystego robociarza, który niechybnie tylko czyhał na to, aby ją zaczepić. Skulona nad salaterką, zaczęła szybko dziobać lody. Pryś miły nastrój, którym zwykle się rozkoszowała w Raju Lodowym Howarda. Nawet nie śmiała podnieść wzroku, podejrzewając, że natrętny osobnik nadal się na nią gapi.

Przy sąsiednim stoliku siedzieli dwaj znani jej młodzi sprzedawcy. Pracowali w składzie towarowym pana Okrama przy Ósmej Ulicy. Początkowo rozmawiali o wędkowaniu w Harness Creek, ale po chwili zaczęli wymieniać pieprzne uwagi na jej temat. Zwykle z humorem traktowała tego rodzaju żarciki, czasem nawet pozwalając sobie na niewinny flirt, ale dzisiaj nie miała ochoty na podobne zaczepki.

– Jedno musisz przyznać – powiedział pierwszy subiekt, rudzielec w przyciasnym brązowym garniturku. – Umie się ubrać, chociaż zasuwa w kuchni.

– Umie się ubrać? – powtórzył drugi, kędzierzawy brunecik o ramionach obsypanych gęstym łupieżem. – Jest śliczna jak obrazek, żaden gość by się jej nie oparł.

Janet wstała, nie kończąc lodów i mówiąc sobie w duchu, że zachowuje się jak poważna, dorosła osoba. Tylko dzieci i psy wylizują talerze po jedzeniu. Odsunęła wiklinowe krzesło, wzięła swoją torbę na zakupy i ruszyła do wyjścia. Podejrzewając, że rumiany robotnik nadal nie spuszcza z niej oczu, nawet nie

pożegnała się z panią Grey, ale powiedziała sobie, że wdowa pewnie i tak jest zbyt zajęta nakładaniem lodów dla kolejnych klientów, aby zauważyć jej dygnięcie.

Za progiem ugodził ją żar i blask bijący z nieba jak z otwartego pieca.

Chłopy są gorsze niż bezpańskie psy, tylko jedno im w głowie, pomyślała. Co za dzikusy! Kiedy tylko zobaczą ładną dziewczynę, zaczynają się zachowywać jak wygłodniałe zwierzaki. Traktują kobietę jak kawałek surowego mięsa.

Przecięła Main Street przy skrzyżowaniu z Dziesiątą Ulicą i weszła w cień drewnianych budynków. Idąc, stuknęła obcasami bucików o deski chodnika i szeleściła długą sukienką. Mijający ją na rowerze posłaniec zagwizdał, ale zadarła podbródek i zignorowała go. Zdecydowała, że nie chce mieć nic wspólnego z mężczyznami. Niech się na nią gapią, niech się ślinią, nie może im tego zabronić. Ale niech nie oczekują od niej, że gestem czy choćby jednym słowem zachęci ich do czegoś więcej.

Idąc, przeglądała się w szybach wystawowych i widziała w nich śliczną dziewczynę w wysokim słomkowym kapeluszu i wykrochmalonej różowej bluzce. Wyprostowała się, przydając sobie nieco wzrostu, i podała do przodu biust. Tego roku modne były obfite krągłości i Janet była bardzo dumna ze swojej figury.

Przystanąła na rogu Dziewiątej Ulicy, przepuszczając szybki konny powozik, po czym zeszła na spieczoną słońcem ulicę. Kiedy zrobiła kilka kroków, poczuła, że czyjaś silna ręka chwyta ją za ramię. Poderwała głowę.

– Och! – krzyknęła.

Był to barczysty mężczyzna z lodziarni. Ten prostacki brutal miał czelność iść za nią! Wyrwała się z uścisku i wrzasnęła piskliwie:

– Trzymaj łapy przy sobie, ty prostacki brutalu!

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę.

– Daj spokój – powiedział. – Lepiej przejdźmy na drugą stronę, bo jeszcze mnie potrafi któryś z tych kmiotków na rowerach.

Janet zadarła nos, uniosła spódnicę i zdecydowanym krokiem przecięła ulicę, nie rozglądając się na boki. Kiedy weszła na chodnik, zamierzała iść dalej, ale natręt znów chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła. – Jeśli nie zostawisz mnie w

spokoju i nie przestaniesz mi się narzucać, zacznę wzywać pomocy!
Zagroził jej drogę.

– Posłuchaj... – powiedział spokojnym, pojednawczym tonem. – Nie zmuszam cię do niczego. Ale już cię gdzieś spotkałem i kiedy zobaczyłem cię w lodziarni, zachodziłem w głowę, gdzie to było.

Janet odwróciła głowę, udając obrażoną, lecz tak naprawdę skrecało ją z ciekawości. Gdzie ten mężczyzna mógł ją wcześniej spotkać?

– Będę wdzięczna, jeśli pozwoli mi pan przejść – powiedziała lekko drżącym głosem.

Odstąpił w bok.

– Nie zatrzymuję szanownej pani – odparł.

Popatrzyła na niego, zupełnie nie wiedząc, jak powinna się zachować. Stał na chodniku z szelmowskim błyskiem w oczach, wyginając w uśmiechu grube wargi.

– Hm... dziękuję – mruknęła.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wygładziła spódnicę i poprawiła torbę na ramieniu. Ależ ten człowiek był irytujący! Najpierw zachowywał się po prostaku i nie chciał pilnować swego nosa, a teraz, kiedy się okazało, że prawdopodobnie wcale nie jest prostakiem, pilnował go aż za bardzo.

– Pewnie nie powie mi pan, gdzie mnie pan widział – rzuciła tak wyniosłym tonem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć.

Wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Nie zamierzam cię prześladować – odparł.

– Ale nie powie mi pan tego?

– Nie, chyba że sama będziesz chciała to usłyszeć.

– Nie przypominam sobie, żebym gdzieś pana widziała – powiedziała.

Delikatnie ujął ją pod ramię.

– Powiem ci, gdzie to było, ale nie stójmy tutaj. Wiem, że masz sprawunki do załatwienia.

Janet czuła się zażenowana, idąc środkiem miasta w towarzystwie tego czerwonoliczego wielkoluda w roboczym ubraniu, ale próbowała nie dać tego po sobie poznać. Pani Mulliner zdarzało się czasem iść na kolację w towarzystwie jakiegoś roztrzęsionego dziadzi, a skoro pani Mulliner godnie potrafiła znieść tak niedobre towarzystwo, ona też powinna dać sobie radę.

– Pracujesz dla Beatrice Mulliner, prawda? – zapytał mężczyzna.
– Widziałem cię w sobotę po południu na garden party u Franka Edmundsa, ale może się mylę...

Janet splonęła rumieńcem, chociaż nie było ku temu żadnego powodu. No, może poza tym, że nieznajomy nie powiedział „pani Mulliner”, lecz „Beatrice Mulliner”.

– Zgadza się – odparła. – Jestem pokojówką u państwa Mullinerów, ale nie mogę powiedzieć, żebym widziała pana u nich na garden party.

Roześmiał się.

– No cóż... nie byłem w tym stroju. Kiedy idę na garden party, nie ubieram się jak do roboty.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Znaczy się... był pan tam jako gość?

Zatrzymał się.

– Można by tak powiedzieć. Prawdę mówiąc, przyszedłem bez zaproszenia. Jedzenie było całkiem, całkiem, ale rozmowa nudna jak flaki z olejem. Tak czy siak, chyba będę musiał się z tym pogodzić, skoro chcę wejść do tutejszego towarzystwa. Czy ten jegomość z bokobrodami to naprawdę małżonek pani Mulliner?

Janet z trudem powstrzymała uśmiech.

– Tak, mój pan jest starszy od pani o dobrych kilka lat. Prowadzi firmę adwokacką przy Piątej. To bardzo miły dżentelmen.

– Tak, pewnie... – mruknął nieznajomy. – Nie mówię, że nie.

Janet przez chwilę mu się przyglądała. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który wzbudziłby w niej równie wielką ciekawość. Wiedziała, że musi wracać, bo inaczej spóźni się na pranie, ale zwlekała – bardzo chciała się dowiedzieć, kim jest ten człowiek i dlaczego się tak ekscentrycznie zachowuje. Czemu mężczyzna, który zjawia się niezaproszony na przyjęciu, chodzi po Main Street ubrany jak zwykły robociarz? Był brzydki, ale jednocześnie dziwnie pociągający, biła od niego jakaś wewnętrzna siła, jakby miał przed sobą wyraźnie określony cel, który koniecznie musiał osiągnąć.

Przejechał ręką po rzadniejących jasnych włosach i popatrzył na nią.

– Zastanawiam się, czy nie mogłabyś dla mnie czegoś zrobić – powiedział.

– To zależy co.

– Hm... jestem w tym mieście od kilku dni i rozglądam się. Doszedłem do wniosku, że to dobre miejsce do otwarcia interesu, i dlatego się do ciebie zwracam.

Janet nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

– Na pewno nikt nie będzie panu w tym przeszkadzał.

Przesunął się w bok, przepuszczając chłopca ze sklepu spożywczego, który taskał worek ziemniaków.

– Wiem o tym – odparł. – Ale by otworzyć interes, potrzeba czegoś więcej niż tylko wyrozumiałości bliźnich. Nie obejdę się bez pomocy. Powinienem wiedzieć, co dzieje się w Broughton, i to zarówno w świecie interesów, jak i w kręgach towarzyskich. Muszę działać szybko i na pewniaka. I tu właśnie liczę na ciebie.

– Ale co ja bym miała zrobić? – spytała zdziwiona Janet. – Niewiele mogę. Jestem tylko służącą.

Uśmiechnął się.

– Mogłabyś rozpuścić tutaj trochę plotek o mnie. To wcale nie takie trudne. Możesz powiedzieć swojej pani, że jeden ważny gość, który nazywa się Johann Cornelius i przyjechał z Nowego Jorku, zamierza otworzyć w mieście interes. To wystarczy. Nic więcej nie musisz mówić. Niebawem każdy będzie chciał wiedzieć, kim jestem i gdzie można mnie znaleźć.

– To wszystko? Wystarczy powiedzieć, że przyjechał do nas pan Cornelius i zamierza otworzyć interes?

Kiwnął głową.

– To wszystko.

Zapanowała niezręczna cisza. Janet zastanawiała się, czy pan Cornelius da jej parę groszy, ale on tylko się uśmiechał i ani myślał sięgnąć do kieszeni. Było oczywiste, że spodziewa się przysługi gratis.

– Niech pan nie myśli, że jestem nieżyczliwa, panie Cornelius, ale darmowe przysługi oddaje się przyjaciółom – wycodziła.

Uśmiechnął się.

– Nie jesteś moją przyjaciółką?

– Znam pana dopiero od pięciu minut! Przyjaźń jest jak kojący cień drzewa, panie Cornelius, ale jaki cień może dać mała gałązka?

– Wobec tego zostanmy przyjaciółmi – powiedział. – Jeśli będziesz miała w tym tygodniu wychodne, wezmę cię do wesołego miasteczka na błoniach.

Pokręciła głową.

– Panie Cornelius... musi pan dać mi trochę czasu, żebym to rozważyła. Poza tym mam już... wielbiciela.

Gdy pocałował ją w rękę, rozejrzała się nerwowo, sprawdzając, czy nie zauważył tego ktoś znajomy.

– Na pewno każdy mężczyzna, który cię pozna, zostaje twoim wielbicielem – powiedział. – Kiedy się zdecydujesz, zostaw mi wiadomość w lodziarni. Na razie mam robotę do wykonania... ty zresztą też. Poznanie ciebie było wielką przyjemnością i z góry cieszę się na nasze następne spotkanie.

Uśmiechnął się do niej, po czym szybko odszedł chodnikiem i po chwili zniknął za rogiem Ósmej. Janet patrzyła za nim przez dobrą chwilę, po czym ruszyła do sklepu żelaznego Scully’ego.

– Coś cię gnębi? – spytał Scully, wyłaniając się z mrocznych, pachnących mydłem głębin sklepu.

Pokręciła głową.

– Nie jestem pewna, panie Scully – odparła cicho. – Myślę, że właśnie poznałam kogoś bardzo dziwnego. Dziwnego albo niegodziwego. A może i dziwnego, i niegodziwego. Mam nadzieję, że nigdy się nie przekonam, jak jest naprawdę.



W porze lunchu zgrzany i głodny Johann Cornelius wszedł do jadłodajni Parsonsa przy Drugiej Ulicy, w biedniejszej, pokrytej liszajami obłazących tynków części dzielnicy handlowej, i usiadł przy małym stoliku nad białą miską z soloną wołowiną i kluskami, osiem centów za porcję.

Jadłodajnia Parsonsa była lokalem dla robotników i w przeciwieństwie do śródmiejskiej restauracji dla zamożnych, gdzie podczas południowego posiłku zawsze było tłoczno i gwarnie, panowała w niej przygnębiająca cisza. Zmęczeni i wygłodniali najemni robotnicy garbili się nad talerzami, nabierając zniszczonymi łyżkami twarde kluchy i łamiąc czerstwy czarny chleb.

Johann zakosztował już takiego życia. Start od zera w Nowym Świecie nie miał w sobie niczego romantycznego ani podniecającego. Przeciwnie, był bardzo bolesny i zniechęcający. Tego dnia – trzynastego sierpnia 1900 roku – Johann Cornelius kończył dwadzieścia siedem lat, ale traktował ten dzień jak jeden z wielu,

pozbawiony wszelkiego znaczenia. Aby dożyć następnych urodzin, najpierw musiał jakoś przetrwać, ale przecież Pan znał cały przebieg jego życia i on sam nie bardzo mógł to zmienić. Musiał założyć firmę i zarobić pieniądze. Bóg pomaga ludziom, którzy sami sobie pomagają.

Przebywał w Ameryce od ponad dwóch lat. Prawie nie myślał o rodzinie, a jeśli już sobie na to pozwalał, nachodziły go jedynie fragmenty wspomnień. Jako chłopiec zawsze pasjonował się inżynierią; jego ciekawość budził każdy skomplikowany mechanizm, którego działanie opierało się na matematyce. Jego ojciec, hodowca bydła w holenderskim Amersfoort, musiał pracować przez wiele lat, aby zapewnić synowi edukację, i Johann został inżynierem. Tego samego roku, w którym ukończył studia, ojciec z niewiadomego powodu dostał udaru, gdy pędził krowy z pastwiska do obory. Johann zrezygnował wtedy z robienia wielkiej kariery i wrócił na ojcowiznę, by opiekować się matką, niedołącznym ojcem i sześciorgiem młodszego rodzeństwa.

Nikt nie wiedział, co tak naprawdę czuł. Nikt nie wiedział, że kiedy przez wszystkie tamte lata oporządzał bydło, dręczyła go straszliwa, dojmująca frustracja i gorycz. Żałował utraconej szansy, która okazała się tylko pięknie opakowanym pudełkiem, kryjącym nędzarskie szmaciane rękawiczki. Pewnego dnia w 1897 roku wzięł od matki drugie śniadanie, pajdę czarnego chleba z serem, i ruszył przed siebie grząską ścieżką. Nigdy więcej nie pokazał się w domu. W snach nawiedzała go zmęczona, pospolita twarz matki, podrygujący, sparaliżowany ojciec, ale za dnia zastępował te pełne poczucia winy wizje kolorowymi obrazkami Holandii z czerwonymi chodnikami, biało-czarnymi krowami i pięknym błękitnym niebem, po którym przemykały pierzaste baranki.

Wybłągał miejsce w wozie u dostawcy serów, jadącego do 's-Gravenhage. Stamtąd na piechotę dotarł do Scheveningen. Ostatnie guldeny wydał na przeprawę do Anglii. Znał tylko dwa angielskie słowa: „tak” i „tolerancja” – to ostatnie jedynie w technicznym znaczeniu, niemające żadnego związku z wolnością religijną, której brak wygnał z ojczyzny tylu Holendrów. Znalazł zatrudnienie jako ślusarz mechanik w Balham, na przedmieściu Londynu. Nocą wracał do zawilgłego pokoju, cuchnącego brudną pościelą i gazem ulatniającym się z nieszczelnych rur. Z Londynu najlepiej zapamiętał

deszcz spływający z szarych dachówek, pożółkłe, zadymione niebo i rozpaczliwe poczucie, że jego życie już zawsze będzie tak wyglądać.

Pewnego deszczowego listopadowego wieczoru w 1897 roku zobaczył w witrynie zakładu szewskiego przy Garratt Lane plakat reklamujący przewozy do Nowego Jorku. Na pięknej akwaforcie parowiec linii White Star trzepotał wimplami, śmiało tnąc gładkie fale w drodze do Nowego Świata. Statek wypływał z Liverpoolu w każdą środę. Najtańsze miejsce na pokładzie kosztowało cztery funty. Johann wrócił do domu i otworzywszy puszkę z pieniędzmi, doliczył się nieco ponad jednej czwartej tej sumy, dwudziestu pięciu szylingów.

Przez cały grudzień, styczeń i luty – podczas kąśliwej, obfitującej w gęste śniegi londyńskiej zimy, pod niekończącym się niebem barwy ołowiu – głodził się, oszczędzając na bilet. Boże Narodzenie 1897 roku spędził samotnie w swoim wynajętym pokoju nad talerzem wodnistej owsianki. W walentynki wrzucił do puszeki ostatnie brakujące trzy pensy i następnego dnia poszedł do kasy linii okrętowych, by kupić bilet.

Statek z proporczykiem Poczty Królewskiej, sunący dumnie po gładkich wodach, okazał się jedynie wytworem artystycznej wyobraźni. Na chłostanym falami Atlantyku Johann kulił się pod mokrym kocem, słuchając rozpaczliwego płaczu chorych dzieci, kaszlu starców i dudnienia silników, które bez wytchnienia wiozły ich ku nieznanemu przeznaczeniu. Czuł się zniechęcony i osamotniony. Wieczorami nieustannie się modlił.

Wraz z setkami innych emigrantów przeszedł odprawę na Ellis Island. Pierwszego dnia w Nowym Jorku padało od brzasku do zmroku i Johann przemókł do suchej nitki. Po pewnym czasie i pokonaniu wielu mil znalazł pracę w centrum, w Zakładach Mechanicznych Nathaniela, małej firmie produkującej układy hamulcowe do lokomotyw. Właściciel firmy, niemiecki imigrant o przylizanych włosach, noszący szkła połówki i kanarkowe kamizelki, z czasem polubił nowego pracownika i zdradził mu kilka tajemnic prowadzenia takiego interesu jak jego.

– Nieważne, czy jesteś dobry, możesz być nawet geniuszem – mówił, upychając w fajce z morskiej pianki śmierzdzący tytoń. – Kiedy masz zakład mechaniczny, musisz wbić ludziom do głowy, że bez ciebie nie dadzą sobie rady. Jeśli ci się to uda, jesteś w domu.

No i musisz poszukać sobie przyjaciół. Nieważne, że będzie ci się robiło niedobrze na ich widok. W tym kraju tylko przyjaciel poda człowiekowi pomocną dłoń, obcy najwyżej poczęstuje cię kułakiem, a tu zawsze będziesz miał więcej wrogów niż przyjaciół.

Johann posłusznie kiwał głową i uczył się. Wieczorami, gdy jego szef szedł do domu, wyciągał księgi rachunkowe i śleczał nad nimi godzinami, dopóki nie poznał struktury finansowej zakładu Nathaniela jak wzoru tapety na ścianie przy łóżku. Dokładnie poznał koszty robocizny i ceny stali – sprężyn, śrub, nitów i części zamiennych.

O dziewiątej wieczorem, po skończeniu pracy, szedł do szkoły wieczorowej przy Bowery i uczył się języka angielskiego u tłustej starej panny, Holenderki z pochodzenia, noszącej czarne flanelowe sukienki i czarne kapelusze z woalką. W weekendy pakował do papierowej torebki kilka kromek chleba z kielbasą i chodził po ulicach Nowego Jorku, chłonąc widoki i odgłosy miasta. Zwiedził Battery Park i getto; przepychał się wśród barwnych tłumów przy Grand Street i mieszał z Włochami bawiącymi się na Chatham Square. Chodził po zamożnych dzielnicach mieszkalnych i przystawał przed wspaniałymi rezydencjami amerykańskich bogaczy. Pewnego razu pod numerem 26 przy Broadwayu zobaczył samego Johna D. Rockefellera. Milioner miał gęste bokobrody i był ubrany w nieskazitelny ciemny żakiet. Johanna najbardziej zdziwiło, że ten nieprawdopodobnie bogaty człowiek ledwo dorównywał mu wzrostem – a może nawet był nieco niższy.

Podczas miesięcy spędzonych w Nowym Jorku usilnie starał się zdusić w sobie nostalgię za Holandią, ale zdarzało mu się przesiedzieć letni wieczór w Van Cortlandt Park, wspominając kraj i rodzinę. Odwiedził też holenderski cmentarz na Staten Island. Uczynił to bez żadnego wyraźnego powodu, chodził jedynie między grobami i szeptem odczytywał napisy na kamiennych płytach.

Czuł się rozpaczliwie samotny, ale wiedział, że samotność jest immanentną częścią jego przeznaczenia. Będąc sam, mógł ciężiej i dłużej pracować. Wkrótce zaprzyjaźnił się z dwoma kolegami z zakładu – młodym Irlandczykiem, Dannym O'Sullivanem, i żydowskim jakaś, Iraw Greenbaumem. Czasem wychodzili razem na miasto i zjadali lunch w porcie. Dwukrotnie umówił się z poznaną w szkole wieczorowej pulchną młodą Włoszką. Za pierwszym

razem poszli na koncert operetkowy na Broadwayu, za drugim zabrała go do siebie, na Washington Street, i przedstawiła rodzicom. Nakarmili go gołąbkami z jagnięciną i напоili muszkatelem, po czym, ku jego bezbrzeżnemu zdumieniu, pogratulowali mu bliskiego małżeństwa z ich córką. Po tym wydarzeniu przez dwa tygodnie nie zaglądał do szkoły, a kiedy w końcu zdobył się na odwagę i przyszedł na zajęcia, dziewczyny już na nich nie było.

Na początku lata 1900 roku zarabiał sześć dolarów i trzydzieści pięć centów tygodniowo i pewnego czerwcowego przedpołudnia stary Nathaniel dał mu do zrozumienia, że czeka go awans. Podczas weekendu wybrał się na spacer Piątą Aleją i przez całe popołudnie wałęsał się między drogimi powozami z woźnicami w cylindrach, damami w futrach, piórach i brylantach oraz paniczkami w wykrochmalonych białych koszulach i robionych na miarę butach. Potem usiadł na jednej z kamiennych ławek stojących przed biblioteką przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Gołębie kręciły mu się między nogami, a on wygrzebywał z kieszeni twarde herbatniki i jadł je, oddając okruszki ptakom. Właśnie wtedy postanowił, że zostanie bogaty.

Zaoszczędził u Nathaniela wystarczająco dużo pieniędzy, aby stać go było na dwa ważne wydatki – kupił bilet na parowiec płynący do teksańskiego Galveston, po czym z wózka przy East Side wybrał używany garnitur i koszulę. Zaraz potem spakował swoją zniszczoną brązową walizkę i opuścił Nowy Jork, nie zostawiając żadnej wiadomości i z nikim się nie żegnając.

Kiedy tego dnia siedział w jadłodajni Parsonsa w Broughton, był tak samo biedny jak wcześniej, jednak teraz miał przed sobą jasno określony cel. Zresztą był to nie tylko cel, ale również sposób na dalsze życie. Granica między bogatymi i biednymi była dla niego oczywista i nie miała żadnego związku z ciężką pracą ani ze szczęściem. Żeby być bogatym, trzeba było urodzić się bogatym. Jeszcze nikt bez grosza przy duszy nie dorobił się fortuny. Bogactwo się osiąga, mądrze używając posiadanych pieniędzy, wielkie zasoby tworzy się z mniejszych. Kiedy tylko zgromadzisz tyle dolarów, że masz ich dość, aby nie wydać wszystkiego na dach nad głową, ubranie oraz miskę solonej wołowiny z kluskami, dysponujesz środkami umożliwiającymi wydostanie się z biedy i osiągnięcie zamożności. Dla finansisty pieniądź jest takim samym niezbędnym

narzędziem jak dla cieśli młotek.

Jego problem polegał na tym, że nie miał pieniędzy. Podczas wielomiesięcznej pracy w Nowym Jorku zaoszczędził jedynie tyle, że wystarczyło na podróż, i teraz miał w kieszeni tylko dziesięć dolarów, które musiały zapewnić mu jedzenie oraz utrzymanie przynajmniej przez miesiąc. Doszedł do wniosku, że z braku prawdziwych pieniędzy musi posłużyć się wyimaginowanymi. Stworzył pozory zamożności i posługując się iluzją dostatku, osiągnie prawdziwy dostatek. Właśnie dlatego – mimo braku zaproszenia – w starannie wyprasowanym garniturze i wykrochmalonej koszuli poszedł na sobotnie przyjęcie dla miejscowej socjety i starał się zawrzeć znajomość z każdym, kto choć trochę liczył się w Broughton.

Uznał, że Mullinerowie to dobra znajomość.

Siedzący obok niego człowiek o spokojnej twarzy, robotnik kolejowy układający tory, wpatrywał się chciwie w jego kawałek chleba. Niewątpliwie miał nadzieję, że jego sąsiad najadł się już do syta i coś zostawi. Johann uniósł głowę i napotkał jego wzrok. Mężczyzna nie odwrócił głowy. Miał zapadnięte policzki i chude, pokryte bliznami palce.

Johann powoli wsunął do ust kromkę i demonstracyjnie odgryzł kęs. Tamten obserwował każdy ruch jego szczęk, jakby liczył na to, że Johann rozmyśli się w połowie przeżuwania i zostawi mu resztę. Dopiero kiedy ostatni kawałek chleba zniknął, opuścił oczy i z powrotem zabrał się do swojego chudego kapuśniaku.

Johann uważał, że nikt, kto rozdaje centy, nie zarobi nawet jednego dolara. Wyczytał gdzieś, że gdyby najbogatszy człowiek w Ameryce postawił wszystkim w kraju stek na kolację, tego samego wieczoru zostałby bankrutem. Zarabianie pieniędzy i puszczanie ich w ruch było na dłuższą metę o wiele pożyteczniejszą i bardziej dobroczynną działalnością niż ich rozdawanie. I chociaż robotnik kolejowy patrzył na niego z urazą, Johann wiedział, że Pan go rozumie i stoi po jego stronie.

Następnego ranka włożył na siebie swoje najlepsze ubranie i wyszedł z pensjonatu, w którym się zatrzymał. Dom był czysty i odeskowany, ale biedny. Stał na rogu Lubbock Street, obok zagród dla krów. Broughton wzbogaciło się na handlu i transporcie bydła, ale teraz były tu również zakłady metalowe produkujące Kuchenki oraz firma rusznikarska T.F. Puseya. Johann przeprowadził już

rozpoznanie, przechadzając się w robotniczym ubraniu przy bramach obu fabryczek i wyrabiając sobie opinię na temat wytwarzanych artykułów oraz mocy produkcyjnej zakładów i ich potrzeb.

Denerwował się i pocił. Na Szóstej Ulicy zatrzymał się, wyjął z kieszeni pogniecioną białą chusteczkę do nosa i wytarł nią ręce. Potem skręcił w Piątą i skierował się do siedziby Broughton National Bank, okazałego budynku stojącego po północnej stronie ulicy. Pchnął mahoniowe wahadłowe drzwi prowadzące do wykładanego marmurem wnętrza i podszedł do wysokiego kontuaru.

– Tak? – odezwał się kancelista w okularach.

– Jestem umówiony z panem Greavesem – oznajmił Johann. – Nazywam się Cornelius. Johann Cornelius.

– Tak, proszę pana – odparł urzędnik, po czym podszedł do drzwi gabinetu dyrektora i zapukał.

Pan Greaves był wysokim, chudym, nerwowym człowiekiem. Co chwila zdejmował i zakładał okulary, wyjmował zegarek, unosił kopertę i zamykał ją z trzaskiem, przeczesywał ręką swoje rzadkie siwe włosy, pokasywał, zakładał nogę na nogę, po czym z powrotem stawiał ją na podłodze.

Zaprosił Johanna do środka, wskazał mu fotel i usiadł za swoim wielkim biurkiem z blatem obitym skórą.

– Hm, panie Cornelius, słyszałem o panu... – zagaił, wiercąc się w fotelu.

Johann uniósł brwi. Najwyraźniej w tak małej mieścinie wieści rozchodziły się bardzo szybko. Skromnie opuścił wzrok i spytał:

– Mam nadzieję, że dobre rzeczy, panie Greaves?

Bankowiec się uśmiechnął.

– Oczywiście, panie Cornelius. Oczywiście.

Johann odpowiedział mu uśmiechem. Zdawał sobie sprawę z tego, że siedzi zbyt sztywno i kurczowo zaciska palce na rondzie czarnego melonika. Ale wiedział też, że ta rozmowa może zadecydować o tym, czy uda mu się przekroczyć granicę między bogactwem i ubóstwem. Wiele lat później powiedział jednemu ze swoich dzieci: „To był wóz albo przewóz, jedna z tych chwil, kiedy wiesz, że grasz o całe swoje życie, i musisz walczyć do upadłego”.

Spróbował się rozluźnić. Czując pod palcami twarde rondo kapelusza, powiedział cicho:

– Jestem inżynierem.